№ 20 Wilno, dnia 7 Czerwca 1925 r. Rok I



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

STANISŁAWA ŚWIĘTORZECKA

Uczennicom swoim poświęca.

Braciszek Babuni.

Opowiadanie osnute na tle prawdziwego zdarzenia.

W zacisznym pokoju starego Kalinowieckiego dworu, w pewien dżdżysty dzień listopadowy, o zmroku, dwunastoletnia Zosia, klęcząc u nóg ubóstwianej swej babuni, łzami zalana i głęboko zawstydzona, głosem przerywanym od łkań opowiadała historję swego ostatniego wybuchu:

„Tak, babciu, to prawda: rzuciłam o ziemię ten jej kryształowy ładny kałamarzyk i roztrzaskałam go w drobne, maluchne, nic nie warte kawałeczki. Teraz tam Marynia płacze i z żalu nad kałamarzykiem i ze zmartwienia, że cała podłoga w jej pokoiku jest na nic. A mnie tak przykro, babciu, taki wstyd!... Co powie mama?... Babciu!.. Babciu!.. Ja przecież tak bardzo zła nie jestem?!

Na te słowa dreszcz wstrząsnął szczupłą postać staruszki. Suche jej dłonie jakby bezwiednie wysunęły się z gorących rąk wnuczki, jednocześnie dwie wielkie łzy stanęły w oczach i spadły na pochyloną główkę dziewczynki.

— Babunia płacze!... — rozdzierającym głosem krzyknęła Zosia. — Babunia mnie już nie kocha! odpycha mnie... złota, jedyna Babciu najmilsza, nie gniewaj się, przebacz! Jakże jestem nieszczęśliwa! Ja się poprawię Babuniu, to się już nigdy, nigdy więcej nie powtórzy!

I z głębokim żalem, prawie z rozpaczą tuliła do ust pozimniałe ręce staruszki, całowała jej kolana, chyliła się do nóg. Babunia milczała. Cień jakiś okrył jej twarz tak pogodną zwykle, usta zacisnęły się, jakby powstrzymać chciały, wyrywający się z piersi jęk bólu.

Cisza, przerywana cykaniem starego zegara, zaległa pokój. Babunia milczała. Wreszcie z piersi jej wyrwało się westchnienie, przesunęła ręką po ciemnych włosach dziewczynki.

— Uspokój się Zosiu, cichszym niż zwykle odezwała się głosem, tak łatwo wpadasz w gniew, tak często ulegasz złości! Wiesz, jak bardzo wszyscy cierpimy nad tem; biedna matka twoja i ja najgorszych dla ciebie obawiamy się z tego powodu skutków, przyszłość twoja nas trwoży, próbowałyśmy już rozmaitych sposobów, aby cię z tej strasznej uleczyć wady, jednak dotąd żadnej nie widać poprawy. Nawet to wielkie szczęście, którego dostąpiłaś niedawno, przystępując do Stołu Pańskiego, nie spowodowało gruntownej w tobie odmiany... To też, Zosiu moja, — tu głos babuni drgnął i załamał się — postanowiłam dla twej nauki, poruszyć prochy dawno minionej przeszłości mojej, otworzyć przed tobą krwawą, nigdy nie zagojoną ranę mojego serca, dotknąć najboleśniejszej struny mej duszy. Z trudnością mi to przyjdzie, stary ból z dawną siłą się odnowi, mniejsza jednak o to.. Może chociaż kosztem niespanej nocy, kosztem zamąconego spokoju, kosztem gorzkich łez, które mi wspomnienie owej chwili wyciska, uda mi się nakoniec na właściwą wprowadzić cię ścieżkę. Takbym pragnęła jeszcze przed

śmiercią ujrzeć ciebie odmienioną zupełnie: łagodną i słodką.

Dla tego też opowiem ci, Zosiu, historję o moim braciszku.

Tak Zosiu, i nas kiedyś było dwoje. I ja miałam braciszka. Nazywał się Januszek... Janio. Pięć lat liczył wówczas. Ja miałam rok trzynasty. Jakież to było śliczne dziecko. Zachwycali się nim wszyscy. Miał złote włosy, spadające w puklach na ramiona i duże ciemne oczy o dziwnie smętnym, jakby zadumanem spojrzeniu. Wątły od urodzenia, posiadał wdzięk i wrażliwość cieplarnianej roślinki. Dobre to było, serdeczne, wprost anielskie stworzenie.

Kochaliśmy go też wszyscy niezmiernie. Rodzice pieścili, służba dogadzała mu we wszystkiem, nic jednak nie mogło popsuć tej kryształowej duszyczki. Posłuszny i łagodny, ustępował mi zawsze; litościwy dla smutku i niedoli wszelkiej, dla każdego miał jakieś pieszczotliwe słówko: ubóstwiano go w domu naszym. Mieszkaliśmy wówczas w Paryżu, gdzie po upadku Powstania Styczniowego ojciec mój schronienia przed prześladowaniem rządu rosyjskiego szukać chwilowo musiał. Mieszkaliśmy przy ludnej i gwarnej ulicy, w samem śródmieściu. Z okien naszego pokoju lubiliśmy przyglądać się zgiełkliwemu ruchowi ogromnego miasta, pięknym pojazdom, koniom, strojom. Januszek interesował się szczególnie losem małych przekupniów, których całe roje uwijały się zręcznie wśród tłumu przechodniów.

— Nianiu, szczebiotał, gładząc po twarzy naszą poczciwą Stefanową. Nianiu, rzuć, proszę pięknie, srebrny grosz, tej małej dziewczynce, co kwiatki roznosi.

— Ewuniu, mawiał tuląc swą różową buzię do mego ramienia, czy ten chłopak, który zapałki sprzedaje, ma w domu mamę? Takbym chciał zanieść mu czekoladkę— tyle ich jest w pudełku!...

— Mateńko, nasza staruszka, co tam na rogu *krepy* *) sprzedaje, taki ma nosek czerwony, bo dziś zimno, poślij jej przez Antoniego moją futrzaną czapeczkę, mówiłaś

*) Kruche naleśniki sprzedawane niegdyś na ulicach Paryża.

przecie, że musisz mi już nową sprawić—prosił składając błagalnie rączki i patrząc w oczy rozczulonej matki naszej. I nikt się nie mógł oprzeć prośbom tego dziecka, stawało się zawsze to, czego żądał.

Dobre to były dla mnie szczęśliwe czasy, miałam przy sobie mojego braciszka!

Nie byłam złą dziewczyną, a choć równie, jak ty, gwałtowna, serce miałam szlachetne i czułe, pracowitą byłam, pilną i prawą. Rodziców i brata kochałam gorąco, a niepomiernie, do przesady lubiłam wszelkie zwierzęta. Na wsi, w Polsce, miałam zawsze mnóstwo ulubieńców. Zostawiłam tam kuce, cielęta, sarenkę, psy i kozę. Dobrzy rodzice moi, chcąc mi rozstanie z drogą wsią naszą osłodzić, coraz to jakimś nowym uszczęśliwiali nas podarunkiem: mieliśmy więc ślicznego bronzowego pudla, białego jak śnieg królika, kota murzynka, a wreszcie kanarka Miciusia, którego oboje z Januszkiem lubiliśmy nadewszystko. Miciuś był rzeczywiście śliczny: prawie tak drobny, jak nasza polska muchołówka, miał czubek na głowie, lśniące złote piórka i śpiewał, prawdziwie, jak słowik, a że osobistą moją stanowił własność, nikomu tknąć go nie pozwalałam: sama czyściłam mu klatkę, sama go karmiłam, sama zmieniałam mu wodę. Tylko czasem czyszcząc klatkę w chwilach bardzo dobrego humoru dawałam go Januszkowi do rączki ku nieopisanej radości mojego braciszka.

Wówczas przechylał główkę, zbliżał usteczka do dzióbka ptaszka i świergotał swym srebrnym głosikiem pieszczotliwe, najczulsze nazwy.

Miciuś, odpowiadał mu również czułym świergotem, a myśmy się śmieli, mówiąc, że mamy w domu dwa kanarki.

To były, Zosiu, dla mnie szczęśliwe czasy... Ale wkrótce skończyło się wszystko.

Staruszka spuściła głowę na piersi, po twarzy jej znowu dwie wielkie łzy spłynęły. Przyłożyła chustkę do oczu, lecz opanowując wzruszenie, tak dalej opowiadanie swe ciągnęła.

c. d. n.





Wanda Niedziałkowska-Dobaczewska.

WESELE.



A na łące, na zielonej, a cóż tam
dzwoni?
Jadą, jadą Państwo Młodzi hej!
we sto koni!



Żuk—woźnica z bicza trzaska z wielką
paradą
Biały Motyl z Bożą Krówką
do ślubu jadą.



Słońce drogę im ozłoci smugą świetlistą.
Księdzem będzie szpak z olszynki, Kos organistą.



Kościół będzie pod tarniną biało kwitnącą,
A skowronki się rozdzwonią pieśnią dzwoniącą

Stoi domek nowożeńców pod muchomorem,
Więc na ucztę tam pojadą wraz z całym
dworem.

Będą pili zdrowie gości z jaskro-
wych szklanek,

Bąk — podczaszy w łapce trzyma
dzban tulipanek.





Potem goście tańczyć zechcą.
Trzeba muzyki,
Stroją skrzypce na kamieniu
polne koniki.

Boża Krówka wdzięcznie dyga przed starą
pszczołą:
„Proszę w parę z moim mężem, będzie
wesoło.“





Bąk zaprosił pannę młodą, trzmiel —
jej siostrzyczkę;
Był niezgrabny i tancerce rozdarł
spodniczkę.

Zato chrabąszcz tak wywija, tak
dzielnie krąży,
Że ta ważka, co z nim tańczy
ledwie nadąży.

Chrząszcze złote i zielone w taniec ruszyły,
Przytupują, wyśpiewują co starczy siły.

Tylko osa koło nosa lata nadęta,
Że nie dla niej te zabawy, nie dla niej święta.

Iść nie może na wesele, nikt jej nie lubi,
Bo ta osa, to złośnica, z każdym się czubi.

Ej! ty oso, żółta oso! porzuć te złości!
Dziś się wszyscy weselimy, prosimy w gości!

Niech waćpani się rozchmurzy, żądłem nie straszy,
To ją chętnie zaprosimy do chaty naszej.

Bajka-Zagadka.

Był raz chłopczyk, który chciał koniecznie doznać przygód i zobaczyć coś niezwykłego. Zawsze w zabawach wymyślał jakieś nadzwyczajności, bajki o królewiczach, o Kopciuszkach-Paluszkach, o dywanach samolotach i choć wiedział, że tego niema naprawdę, bawił się tem doskonale. Kiedyś postanowił powędrować — gdzie oczy poniosą i gdzie pieprz rośnie.

Czuł, że to musi być bardzo daleko, bo pieprz rośnie w ciepłych krajach, a u nas jest dość zimno, a oczy, to już wiedział na pewno, że ma takie ciekawe, że go będą niosły i niosły bez końca.

Poszedł na strych domku rodzicielskiego i wybrał sobie kłębek nici kolorowych, z których mama miała robić kaftanik.

„Nie można przecież puszczać się w podróż bez „kłębka wskazidrożka“, tak zawsze robili królewicze, tylko już siwka złotogrzywka nie dostanę, ale zawołam Wila, naszego psa, może pójdzie ze mną“.

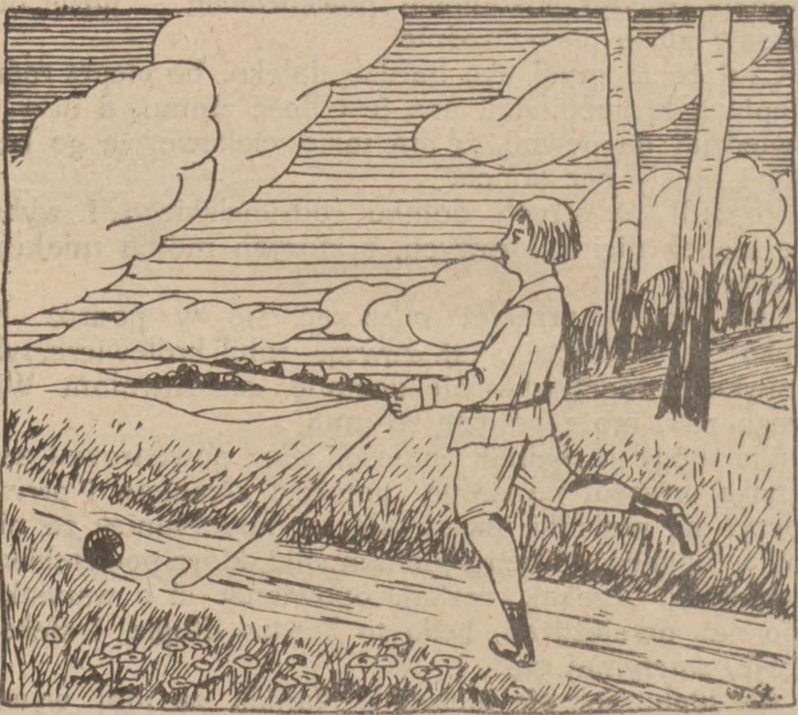
Nie mógł go jednak znaleść, więc powędrował sam. Jak tylko wyszedł na drogę, potoczył kłębkiem i prrr... Potoczył się maleńki jak strzała, a nasz Maniek za nim, co sił w nogach. Minęli pędem mostki, które podskakiwały i skrzypiały, „czekaj, czekaj, opowiemy ci o wszystkich co po nas przejeżdżali, będą to bardzo długie i ciekawe historje, zatrzymaj się“.

Ale kłębuszek się toczył, a Maniek za nim wywijał nogami, nie czując głodu, ni zmęczenia. Las zastąpił mu drogę i zaszumiał wszystkiemi gałązkami: „Stój chłopcze, któż ci piękniejsze opowie historje, jak nie moje stuletnie dęby, niebotyczne sosny, śliczna kalina, o której śpiewają piosenki i smaczne jagody, oczekują one takich jak ty zuchów, nie leć że tak, posłuchaj mego szumu i gwaru“.

Ale kłębuszek toczył się jak warjat, a za nim Maniek, choć mu się las bardzo podobał. Cóż kiedy chciał czarów, to i były. Nie mógł się zatrzymać!

Kamienie przydrożne wrzeszczały jeden do drugiego

przez pola: „Patrzcie, jaki to fiksatowaty chłopiec, leci za kłębuszkiem i sam nie wie gdzie, dobrze będzie jak się o którego z nas przewróci i nos rozbije...“ „Cha, kra, cha, kra“ zachrapały ze śmiechu wrony „to byśmy chciały widzieć, to by było zabawne, polećmy patrzeć, lećmy za nim“. I porzuciły szukanie pędraków w tłustej roli, tylko rozdziawiwszy dzioby, podlatywały za Mańkiem i podśmiewały się z niego chórem.



A on za tym kłębkiem... już podarł trzewiki, że oblecialy z niego i gołemi piętami dudnił po gościńcu, zgubił czapkę i wiatr gwizdał mu koło uszu, rozwiewając czuprynę i poganiał go, wesoło powtarzając: „Kto prędzej, kto prędzej, ja czy ty, ja czy ty!“. I całował buźkę Mańka tak serdecznie, że aż chłopczyk był czerwony jak maczek.

c. d. n.